

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 8 VI. 1929.

Nr. 45

Człowiek, wychowany przez małpy

19)

Dzieje i przeżycia młodzieńczego rozbitka

ROZDZIAŁ XXV.

Najdalej wysunięta placówka cywilizacji.

Prawie jednocześnie d'Arnot posłyszał huk swej broni i ujrzał, że przez otwarte drzwi osunęła się na podłogę chaty postać ludzka.

Francuz podniósł znów swą strzelbę, aby dać drugi wystrzał w rozciągniętą postać, lecz nagle w półmroku otwartych drzwi dostrzegł, że był to człowiek biały, a w chwilę później zrozumiał, że strzelał do swego przyjaciela i opiekuna, że był to Tarzan.

Z okrzykiem boleści d'Arnot poskoczył do boku człowieka-małpy i uklękawszy uniósł w swych dłoniach czarną głowę, wywołując głośno jego imię.

Nie było odpowiedzi. Wtedy d'Arnot przyłożył ucho do serca człowieka. Ku swej radości posłyszał mocne uderzenia.

Troskliwie poniósł Tarzana na kanapę i zamknawszy i zaparłszy w mięśniach, lecz kości czaszki były nienaruszone.

D'Arnot odetchnął z ulgą i zajął się obmyciem krwi z twarzy Tarzana.

Zimna woda wkrótce ocuciła rannego, otworzył on oczy i z wyrazem zadziwienia wpatrywał się w d'Arnota.

Porucznik przewiązał ranę kawałkami płótna, a spostrzegłszy, że Tarzan odzyskał przytomność, powstał i podszedłszy do stołu napisał kartkę, którą podał małpie-człowiekowi, zawierającą wytłumaczenie strasznej pomyłki, którą popełnił i wyrazy radości, że rana nie była niebezpieczna.

Tarzan, przeczytawszy kartkę, siadł na krawędzi łóżka i zaśmiał się.

— To nic, — powiedział po francusku, a później czując brak wyrazów napisał:

— Gdybyś widział, jakie rany zadał mi Bolgani, i Kerczak, i Terkoz, nim ich zabiłem — śmiałyś się z tak drobnego draśnięcia.

D'Arnot podał Tarzanowi dwa listy, pozostawione dla niego w chacie.

Tarzan przeczytał pierwszy ze smutkiem, Drugi obracał w ręku, szukając otworu — nie widział on nigdy przedtem zapieczętowanej koperty. W końcu podał ją d'Arnotowi.

Francuz spojrzał na niego i domyślił się, że nie umie sobie poradzić z kopertą. Jak dziwnem było, że dla dorosłego białego człowieka koperta była tajemnicą. D'Arnot otworzył ją i podał list Tarzanowi.

Siadłszy na krześle obozowym małpa-człowiek położył zapisany arkusik przed sobą i czytał:

— Nie miałem wcale żadnych podejrzeń na ludzi, którym tyle zawdzięczamy, — odpowiedział profesor Portter łagodnie. — Równie dobrze mógłbym podejrzewać pana Claytona lub pana Philandra.

Francuzi uśmiechnęli się, oficerowie i żołnierze. Jasne było, że ciężar spadł im z piersi.

— Skarb zabrany został już jakiś czas temu, — ciągnął dalej Clayton. — Ciało rozpadło się, kiedyśmy je podnieśli co wskazuje, że ten kto usunął skarb, uczynił to, kiedy trup był jeszcze świeży, był bowiem nienaruszony, gdyśmy go odkopali.

— Prawdopodobnie było przy tem kilku ludzi, — rzekła Janina, która obecnie podeszła. — Przypominacie sobie, że potrzeba było czterech ludzi, aby ją unieść.

— Do licha! — wykrzyknął Clayton, — prawda. Musiał to uczynić oddział czarnych. Prawdopodobnie jeden z nich podpatrzył, jak ludzie chowali skrzynię, a potem sprowadził swych przyjaciół i zabrali ją.

— Przypuszczenia są płonne, — rzekł profesor Porter smutnie. — Skrzyni niema. — Nigdy jej już więcej oglądać nie będziemy, ani skarbu w niej zawartego.

Tylko Janina wiedziała, jakie znaczenie miała strata skrzyni dla jej ojca, a jakie znaczenie miała dla niej, to nie było wiadome nikomu.

W sześć dni później kapitan Dufrainne oznajmił, że odpłyną wczesnym rankiem nazajutrz.

Janina prosiłaby o dalszą zwłokę, gdyby nie to że sama zaczęła sądzić, że jej leśny miłośnik nie powróci.

Wbrew samej sobie zaczęła wątpić i mieć obawy, słuszność argumentów, wypowiedzianych przez bezstronnych francuskich oficerów, zaczęła wywierać na nią wpływ wbrew jej woli.

Nie wierzyła, aby był ludożrełą, lecz wydało się jej rzeczą możliwą, że był przybranym członkiem jakiegoś plemienia dzikich.

Nie przypuszczała, aby zginął. Niemożliwem było uwierzyć, by to doskonale uformowane ciało, tryskające siłą i życiem, mogło utracić iskrę życia.

Janina podała myśl, aby pozostawić w chacie broń, amunicję, zapasy i przedmioty służące ku wygodzie, nietylko dla tej nieuchwytniej osoby, która podpisała się Tarzan z małp i dla porucznika d'Arnot, gdyby pozostał przy życiu, w istocie jednak miała nadzieję, że rzeczy te mogą się przydać dla leśnego bożka.

W ostatniej chwili zostawiła pisany do niego list, który miał być doręczony przez Tarzana.



„Do Tarzana z plemienia małp. — Zanim opuszczę te strony, niech mi wolno będzie przyłączyć swe podziękowanie do podziękowań pana Clayтона za uprzejmość nam okazaną i korzystanie przez nas z pańskiej chaty.

Żałowaliśmy bardzo, że pan nie przybył ani razu, by się zaznajomić. Pragnęliśmy bardzo zobaczyć pana i złożyć podziękowanie naszemu go spodarzowi.

Jest jeszcze ktoś inny, komu pragnęłabym podziękować, lecz ten nie powrócił, chociaż nie sądzę, aby nie żył.

Nie znam jego imienia. Jest to wielki biały ol brzym, który nosił na swej piersi brylantowy medalion.

Jeżeli go pan zna i mówi jego językiem, zamieść mu moje podziękowanie i powiedz mu, że czekałam siedem dni na jego powrót.

Powiedz mu również, że w moim domu, w Ameryce, w mieście Baltimore, zawsze będzie mile przyjęty, jeżeli zechce przybyć.

Janina Porter.

Tarzan przesiedział blisko godzinę z wzrokiem utkwionym w podłogę. Widocznym było z kart, że nie wiedzieli, iż on i Tarzan z plemienia małp była to jedna i ta sama osoba.

Przez tydzień czasu wypoczywali, d'Arnot uczył Tarzana mówić po francusku. Ku końcowi takiego czasu obaj mogli łatwo rozmawiać z sobą.

Pewnego wieczoru, gdy siedzieli w chacie przed udaniem się na spoczynek, Tarzan zwrócił się do d'Arnota.

— Gdzie jest Ameryka? — rzekł.

D'Arnot wskazał na północno-zachód.

— Wiele tysięcy mil podróży przez ocean, — odpowiedział. — Dlaczego?

— Udam się tam.

D'Arnot potrząsnął głową.

— To niemożliwe, mój przyjacielu, — rzekł.

Tarzan wstał i podchodząc do jednej z szaf powrócił z geografją, na której były znaki częstego jej używania.

— Nie mogłem tych rzeczy zrozumieć. Wytlumacz to mi proszę.

Kiedy d'Arnot skoczył, wytłumaczywszy, że kolor niebieski oznaczał wszelkie wody na ziemi, a plamy w innym kolorze, lądy i wyspy. Tarzan poprosił, aby mu wskazał miejsce, gdzie się znajdowali.

D'Arnot spełnił jego życzenie.

— A teraz wskaż mi Amerykę, — rzekł Tarzan.

Kiedy d'Arnot położył swój palec na północnej Ameryce, Tarzan uśmiechnął się i dłonią odmierzył wielki ocean, który oddzielał oba kontynenty.

— Widzisz, że nie jest to daleko, — rzekł; — zaledwie na szerokość mej dłoni.

D'Arnot zaczął się śmiać. Jak wytłumaczyć mapę człowiekowi?

Poczem wziął w rękę ołówek i zrobił mały punkcik na brzegu Afryki.

— Ten drobny znak, — rzekł — jest wiele razy większy na tej mapie niż twoja chata na ziemi. Czy rozumiesz teraz, jak to jest daleko.

Tarzan myślał czas jakiś.

— Czy biali ludzie mieszkają w Afryce? — zapytał.

— Tak, mieszkają.

— Gdzie mieszkają najbliżej?

D'Arnot wskazał punkt na brzegu wprost na północ od nich.

— Tak blisko? — zapytał Tarzan ze zdziwieniem.

— Tak, — rzekł d'Arnot; — lecz nie jest to tak blisko.

— Czy posiadają oni duże okręty do przepływania oceanu?

— Tak.

— Udamy się tam jutro — oznajmił Tarzan.

Znów d'Arnot uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Zbyt to daleko. Pomarilibyśmy wprzód, nim byśmy do nich doszli.

— Czy masz tedy zamiar pozostać tu na zawsze? zapytał Tarzan.

— Nie, — odrzekł d'Arnot.

— Jeżeli tak, to wyruszymy jutro. Nie chcę widzieć więcej tego miejsca. Wolałbym umrzeć, niż tu pozostawać.

— Niech tak będzie, — odpowiedział d'Arnot wzruszając ramionami. — Nie wiem, co począć, mój przyjacielu, lecz i ja również wolałbym umrzeć, niż tu pozostawać. Jeżeli ty idziesz, idę i ja z tobą.

— Jest to więc postanowienie — rzekł Tarzan. — Jutro wyruszam do Ameryki.

— Jak udasz się do Ameryki, nie mając pieniędzy? — zapytał d'Arnot.

— Co to są pieniądze? — zadał pytanie Tarzan.

Wytłumaczenie Tarzanowi, nawet niedokładne, znaczenia pieniędzy zabrało dużo czasu.

— W jaki sposób ludzie zdobywają pieniądze — zapytał wkońcu.

— Trzeba na nie zapracować.

— Dobrze więc. Zapracuję nanie.

— Ależ nie, mój przyjacielu, — odrzekł d'Arnot. — Nie potrzebujesz trapić sobie głowy pieniędzmi ani pracować na nie. Ja mam tyle, że wystarczy na nas obu — wystarczy na dwudziestu — znacznie więcej niż potrzeba jednemu człowiekowi i będziesz miał wszystko, czego ci będzie potrzeba, gdy dotrzemy do krajów cywilizowanych.

Następnego dnia wyruszyli na północ wzdłuż brzegu. Każdy niósł strzelbę i naboje, prócz tego postranie oraz trochę jadła i naczyń kuchennych.

Tarzanowi naczynia kuchenne wydawały się obciążeniem bezużytecznym, odrzucił więc część swoją.

— Musisz jednak nauczyć się, mój przyjacielu, jeść gotowane pokarmy, — zauważył d'Arnot. Ludzie cywilizowani nie jedzą surowego mięsa.

— Wystarczy na to czasu, kiedy dotrę do cywilizacji, — rzekł Tarzan. — Nie lubię tego, psuje się tylko w ten sposób smak dobrego mięsa.

Miesiąc czasu wędrowali napółnoc. Czasami mieli pożywienia obfitość, czasami nie jedli całymi dniami.

Nie spotykali śladów tubylców, nie napastowały ich drapieżne zwierzęta. Podróż była cu-downie łatwa.

Tarzan rozpytywał się o wiele rzeczy i nauczył się wiele. D'Arnot objaśniał mu rozmaite udoskonalenia cywilizacji — nie pomijając użytku noża i widelca, często jednak Tarzan porzucał je ze wstrętem, chwytając pokarm w swe silne opalone ręce i rozrywał zębami na podobieństwo dzikich zwierząt.

Wtedy d'Arnot występował z zarzutami, mówiąc:

— Nie można jeść jak zwierzę, Tarzanie, skoro ja chcę z ciebie zrobić człowieka dobrze wychowanego. Boże miły! Ludzie dobrze wychowani nie robią tego — to jest okropność.

Tarzan robił niemądry grymas, brał znów do ręki nóż i widelec, lecz w głębi serca miał je w nienawiści.

W podróży opowiedział d'Arnotowi o wielkiej skrzyni, którą widział, że marynarze zakopali, o tem, że ją odkopał i zaniósł na miejsce zgromadzeń małp i tam ją zakopał.

— Musiała to być skrzynia ze skarbami profesora Portera, — rzekł d'Arnot. — Stało się bardzo źle lecz, oczywiście, tyś, nic nie wiedział.

Tarzan przypomniał sobie wtedy list, pisany przez Janinę Porter do swej przyjaciółki, który skradł, gdy przybyli do chaty, i teraz dowiedział się, co zawierała skrzynia i jakie miała znaczenie dla Janiny Porter.

— Jutro wracamy po nią, — oświadczył d'Arnotowi.

— Wracamy? — wykrzyknął d'Arnot. — Lecz mój drogi przyjacielu, już trzy tygodnie jesteśmy w drodze. Zabierze to nam trzy nowe tygodnie na drogę powrotną do skrzyni, a wtedy z tym wielkim ciężarem, dla którego trzeba było czterech majtków, by go unieść, całe miesiące będziemy musieli iść, nim dotrzemy z powrotem na obecne miejsce.

— To musi być zrobione, mój przyjacielu — nalegał Tarzan. — Ty pójdziesz drogą do cywilizacji, a ja wracam po skarb. Sam jeden potrafię przebywać drogę daleko prędzej.

— Mam lepszy plan, Tarzanie, — zawołał d'Arnot. — Pójdziemy razem do najbliższej kolonii i tam wynajmiemy łódź i popłyniemy wzdłuż brzegów po skarb i przetransportujemy go z łatwością.

— Tak będzie bezpieczniej i prędzej i nie będzie potrzebna, byśmy się rozstawali. Co sądzisz o takim planie?

— Wybornie, — rzekł Tarzan. — Skarb nie ucieknie. Mogę go przynieść dziś lub odnaleźć wraz z tobą za miesiąc lub dwa, a czuć się będę lepiej, wiedząc, że nie jesteś sam w drodze.

— Kiedy widzę jak nie możecie sobie radzić sami, często trudno mi zrozumieć, jak ród ludzki uniknął wytopienia przez te długie wieki, o jakich mi mówiłeś. Jedna Sabora, sama, mogłaby wytepić z tysięcy takich jak ty.

D'Arnot zaczął się śmiać.

— Nabierzesz wyższego wyobrażenia o rodzie ludzkim, kiedy ujrzysz jego wojska lądowe i morskie, wielkie miasta i prace inżynierów. Zrozumiesz wtedy, że nie mięśnie, lecz umysł daje przewagę ludziom nad potężnymi zwierzętami puszczy.

— W pojedynkę i bez broni jeden człowiek nie dorówna żadnemu z większych zwierząt; gdzie się jednak zbierze dziesięciu ludzi, połączą swe myśli i swe siły muskułów przeciwko drapieżnym swym wrogom, a zwierzęta niezdolne do rozumowania, nie zdobędą się nigdy na połączenie swych sił, by je użyć przeciwko człowiekowi.

Gdyby było inaczej, Tarzanie, czy długo mógłbyś się utrzymać w dzikiej puszczy?

— Masz słuszość, d'Arnot, — odrzekł Tarzan. — Gdyby Kerczak przyszedł na pomoc Tubla-towi w ową noc na uroczysku dum-dum, byłoby po mnie.

— Nawet moja matka. Kala, nigdy nie robiła planów na przyszłość. Zjadała to, co było jej potrzebne, gdy chciało się jej jeść, a gdy znalazła pożywienia dosyć na kilka dni, nigdy nie gromadziła zapasów.

— Znalesz więc swoją matkę, Tarzanie? — zapytał d'Arnot zdziwiony.

— Tak. Była wielką, piękną małpą, większą odemnie i ważyła ze dwa razy więcej, niż ja.

— A twój ojciec? — zapytał d'Arnot.

— Nie znam swego ojca. Kala mówiła mi, że była to biała małpa, bezwłosna, taka jak i ja. Wiem teraz, że to musiał być biały człowiek.

D'Arnot przypatrywał się długo z powagą swemu kompanjonowi.

— Tarzanie, — rzekł wkońcu, — niemożliwym jest, aby małpa Kala była twoją matką. Gdyby tak było, w co nie wierzę, odziedziczyłbyś jakieś cechy małpie, lecz ich w tobie niema — jesteś białym człowiekiem pełnej krwi, a ja dodam, potomkiem rodziców wysokiego rodu i wysokiej inteligencji. Czy nie masz żadnego klucza do swej przeszłości.

— Żadnego, — odpowiedział Tarzan.

— Nie było w chacie żadnych pisanych dokumentów, z których można by co dowiedzieć się o życiu jej pierwotnych mieszkańców?

— Przeczytałem wszystko, co było w chacie, z wyjątkiem jednej książki, napisanej, jak dziś wiem, w innym, niż angielskim języku. Być może, ty ją potrafisz odczytać.

Tarzan wydobył mały czarny djarjusz z głębi swego sakwaka i podał go towarzyszowi.

D'Arnot rzucił okiem na tytułową stronę.

— To jest dziennik Jana Claytona, lorda Grey-stoke, pisany po francusku, — rzekł.

Potem zaczął odczytywać dziennik, pisany przed dwudziestu laty z górą, w którym opowiedziane były szczegółowo dzieje już nam znane — przygody, trudy znoszone i cierpienia Jana Claytona i jego żony Alicji, od czasu kiedy opuścili Anglię do ostatnich chwil, kiedy Clayton zginął w łapach Kerczaka.

D'Arnot czytał na głos. Głos jego od czasu do czasu załamywał się i musiał on przerywać czytanie, wzruszony tą beznadziejnością, wzбудzającą litość, która przebijała z kart książki.

W przerwach spoglądał na Tarzana, ten jednak siedział nieruchomy jak statua, z oczyma utkwionymi w ziemię.

Tylko, tam, gdzie była mowa o dziecku, zmieniał się ton dziennika, ginęła rozpacz, która wkra-dła się pomału po pierwszych dwu miesiącach pobytu na wybrzeżu.

Ustępy te nosiły zabarwienie przytłumionej szczęśliwości, która jednak robiła smutniejsze wrażenie, niż reszta wspomnień.

Jeden ustęp wyrażał prawie wiarę w przyszłość. — Dziś nasz chłopak skończył sześć miesięcy. Siedzi on na kolanach matki przy stole, na którym piszę — jest szczęśliwym, zdrowym, wybornym dzieckiem.

— Bądźcobądź, nawet wbrew temu, co mówi mi rozum, wyobrażam sobie, że syn mój, gdy do-rośnie, obejmie po ojcu stanowisko w świecie — będzie drugim Janem Claytonem — i przyozdobi nowymi zaszczytami dom lordów Greystoke.

— Oto, — jak gdyby potwierdzając moją prze-powiednię — małe pocchwycił pióro swą piastką i swymi małymi palcami umazanymi w atramencie, wycisnął pieczęć odbijającą jego palce na stronicy.

W tem miejscu, na marginesie strony, widać było w części spłowiałe odbicie czterech małych palców i połowy palca dużego.

Kiedy d'Arnot ukończył czytanie dziennika, obaj siedzieli czas pewien w milczeniu.

— A więc Tarzanie, jak sądzisz? — zapytał d'Arnot. — Czy ta książka nie wyjaśnia tajemnicy twego pochodzenia? Przecież ty, człowieku, jesteś lordem Greystoke.

Tarzan potrząsnął głową.

— Książka mówi o jednym tylko dziecku, — odrzekł. — Drobny szkielet tego dziecka był w kołysce, gdzie dziecko zmarło z braku pokarmu, od czasu jak poraz pierwszy wszedłem do chaty od chwili, kiedy towarzysze profesora Portera zakopali go wraz z trupem ojca i matki obok chaty.

— O tem dziecku mówi książka. Tajemnica mego pochodzenia jest dziś jeszcze bardziej zagadkowa niż przedtem. W ostatnim czasie przemyślałem wiele o możliwości, że chata była miejscem gdzie się urodził.

— Sądzę, że Kala mówiła prawdę, — zakończył smutnie. D'Arnot potrząsnął głową. To, co mówił Tarzan, nie trafiło mu do przekonania. Miał swoją myśl i zdecydował sprawdzić słuszność swych przypuszczeń, gdyż zdawało mu się, że znalazł jedyny klucz, który mógł odemknąć tajemnicę lub pograżyć ją w krainę rzeczy niemożliwych do zgłębienia.

W tydzień później nasi wędrownicy napotkali niespodziewanie polankę w lesie.

W oddali widać było kilka budowli, otoczonych mocną palisadą. Pomiędzy nimi a zagrodą rozciągały się uprawne pola, na których pracowało kilkunastu murzynów.

Obaj zatrzymali się u krawędzi boru.

Tarzan nałożył na swój łuk zatrutą strzałę lecz d'Arnot położył rękę na jego ramieniu.

— Co chcesz uczynić, Tarzanie? — zapytał.

— Jeśli murzyni nas spostrzegą, postarają się nas zabić, — odpowiedział Tarzan. — Wolę ich uprzedzić.

— A być może, są to nasi przyjaciele, powiedział d'Arnot.

— To są ludzie czarni, — była cała odpowiedź Tarzana.

I znów naciągnął łuk.

— Nie można. Tarzanie! — wykrzyknął d'Arnot. —

Biali ludzie nie zabijają bez potrzeby. Miły Boże! musisz się wielu jeszcze rzeczy nauczyć.

— Lituję się nad tym, kto ściągnie na siebie twe niezadowolenie w Paryżu, dokąd zamierzam cię wziąć z sobą. Będę miał ciągłą robotę, aby uchronić twą szyję od gilotyny.

Tarzan opuścił swój łuk i roześmiał się.

— Nie rozumiem, dlaczego należało zabijać czarnych tam w dżungli, a nie zabijać ich tutaj. Przypuśćmy, że Numa, lew, wyskoczy na nas, mam mu rzec: — „Dzień dobry, panie Numo! jak się miewa twoja małżonka? — czy tak?”

— Zaczekaj, aż czarni rzucają się na nas, — odrzekł d'Arnot, — wtedy będziesz mógł ich zabić. Nie przypuszczaj, że ludzie są twymi nieprzyjaciółmi, dopóki nie okażą nieprzyjaznych zamiarów.

W owej chwili jeden z czarnych zaczął się rozglądać, i spostrzegłszy Tarzana, zawrócił z krzykiem ku ogrodzeniu.

W jednej chwili powietrze nappełniło się okrzykami przerażenia, wydanymi przez ucie-

kających robotników polnych. Zanim jednak ktokolwiek z nich dobiegł do palisady, z ogrodzenia wynurzył się biały człowiek ze strzelbą w rękę, chcący się przekonać, co było powodem podniecenia.

Spostrzegłszy co się dzieje, podniósł strzelbę do ramienia. Tarzan zapewne dostałby postrzał kulą, gdyby d'Arnot nie odezwał się głośno do człowieka, mierzącego z broni:

— Nie strzelaj! Jesteśmy wasi przyjaciele!

— Zatrzymajcie się, tedy! — była odpowiedź.

— Stój, Tarzanie — zawołał d'Arnot. — On sądzi, że my jesteśmy nieprzyjaciółmi,

Tarzan zwołał kroku i obaj z d'Arnotem skierowali się ku białemu człowiekowi, stojącemu u bramy.

Ten ostatni spoglądał na nich z widocznym zadziwieniem.

— Co za ludzie jesteście? — zapytał po francusku.

— Biali ludzie, — odpowiedział d'Arnot, — Zgubiliśmy drogę w puszczy już od dłuższego czasu.

Biały człowiek opuścił broń i wysunął się z wyciągniętą dłonią.

— Jestem ojciec Konstantyn z tutejszej Misji francuskiej, — rzekł, — rad jestem was powitać.

— To jest pan Tarzan, ojciec Konstantynie — odrzekł d'Arnot, wskazując na małego człowieka, a gdy duchowny wyciągnął rękę do Tarzana, d'Arnot dodał: a ja jestem Paweł d'Arnot, oficer francuskiej marynarki.

Ojciec Konstantyn uścisnął rękę, którą Tarzan wyciągnął, naśladując ruch księdza.

W taki sposób dotarł Tarzan z plemienia małp do pierwszej placówki świata cywilizowanego.

Przebyli tam tydzień. Małpa-człowiek przez swą bystrą spostrzegawczość poznał tam niejednego z obyczajów ludzi. Przez ten czas murzynki szyły ubranie dla d'Arnota i Tarzana, aby mogli udać się w dalszą drogę w przyzwoitem odzieniu.

ROZDZIAŁ XXVI.

U szczytów cywilizacji.

Nowy miesiąc podróży doprowadził ich do niewielkiej grupy zabudowań u ujścia szerokiej rzeki. Tu Tarzan zobaczył liczne statki i doznał znowu uczucia płochliwości, jaką mają zwierzęta, na widok zbiorowiska ludzi.

Stopniowo przyzwyczaił się do dziwnych hałasów i nowych obyczajów. Nikt nie mógłby już poznać że ten piękny Francuz w nieposzlakowanej białości ubraniu, śmiejący się i rozprawiający wesoło, zaledwie przed dwoma miesiącami przeskakiwał nagi, z gałęzi na gałąź w pierwotnym lesie, by spaść nagle na nieogłodną ofiarę i napęłnić swój żołądek jej surowem mięsem.

Obecnie Tarzan posługiwał się już nożem i widelcem, które miesiące temu odrzucał z pogardą i jadł tak wytwornie jak d'Arnot.

Był on tak pojętnym uczniem, że młody Francuz z przyjemnością zadawał sobie trud, aby uczynić z niego pana z wytwornymi manierami w obiedzi i mowie.

Skoro tylko dotarli do małego portu, d'Arnot telegrafował do rządu o swem ocaleniu i prosił o trzymiesięczny urlop, który otrzymał

(Ciąg dalszy nastąpi.)